Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 5 lipca 1938 r. Nr. 13.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

WYPADEK PRZY UL. WIEJSKIEJ

Sprawami Sejmu nie interesowaliśmy się dotąd bliżej. Doceniając znaczenie, jakie mu przyznaje Konstytucja, musieliśmy jednak widzieć, że rzeczywisty ciężar gatunkowy tego Sejmu nie zupełnie odpowiada ciężarowi zadań, że decydujące o naszej przyszłości przemiany dokonują się poza jego murami, często bez jego współudziału, niekiedy mimo przeszkód, z tej strony tworzonych świadomie lub nieświadomie. Gdy obóz Zjednoczenia Narodowego, a raczej jego b. szef płk. Koc z nakładem olbrzymiej cierpliwości i mozołu zorganizował parlamentarną grupę OZN, dążąc do nadania tej grupie jak najszerszych ram, trudno nam było uznać to za sukces. Przewidywaliśmy, a wypadki potwierdziły te obawy, że pożytku będzie stąd mniej niż kłopotów i powikłań, że optymizm, z jakim próbowano pod jednym sztandarem zjednoczyć tak różnorodne żywioły, musi przynieść rozczarowanie. Istotnie wystarczyło przejrzeć prasę opozycyjną z późniejszego okresu, by stwierdzić, że najobfitszy materiał do krytyki OZN i powątpiewania w jego zwartość wewnętrzną i dyscyplinę dawał nie teren, nie doły organizacyjne, lecz właśnie wyposażona w mandaty sejmowe i senackie góra.

Dziś wypadnie nam dać krótką ocenę faktu, jakim jest wybór płk. Sławka na marszałka Sejmu. Wiadomo, że wybór ów wywołał nader obfte i sensacyjne komentarze. Dowodzono, że kryje się w nim zapowiedź doniosłych przemian w skali ogólnopaństwowej; taki pogląd byłby może prawdziwy, gdyby Konstytucja przyznawała marszałkowi Sejmu mniej skromne prerogatywy, a sam Sejm obecny był bardziej tym czynnikiem, jakim chciałaby go widzieć Konstytucja. Utrzymywano również — i ta sugestia zdobyła znaczną popularność — że wybór płk. Sławka oznacza porażkę Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Zapewne, po pozorach sądząc, możnaby dojść do takiego wniosku. Nie jest przecież tajemnicą, że poglądy płk. Sławka na organizację polityczną społeczeństwa nie idą po linii, którą i co do treści i co do formy przyjął OZN. Wiadomo dalej, że płk. Sławek zachował wbrew wszelkim doświadczeniom pełny sentyment dla swego dzieła — ordynacji wyborczej, którą OZN uważa za nie doskonałą i wymagającą zmiany. Wiadomo wreszcie o bliskich kontaktach, łączących płk. Sławka z tymi grupkami, które niedawno hałaśliwie opuściły OZN i wydały mu walkę, życzliwie rejestrowaną tak przez konserwatystów, jak przez Stronnictwo Narodowe. W tych warunkach łatwo o wniosek, że OZN powinien był jak najgwałtowniej zwalczać kandydaturę płk. Sławka, a w jego wyborze uznać swą klęskę.

W rzeczywistości — i to również nie jest tajemnicą — OZN żadnej walki nie podejmował, zgłaszając w całej sprawie swe desinteressement, którego wyrazem były białe kartki. OZN słusznie uznał ów problem za nieistotny i pozbawiony politycznego znaczenia. To zaś, że ta właśnie kandydatura została wysunięta i przeszła, nie powinno nikogo dziwić. Ostatecznie ogromna większość obecnych posłów swój mandat zawdzięcza desygnowaniu ich przez b. szefa Bezpartyjnego Bloku i było by nielojalnością, gdyby bodaj w ten sposób dziś nie zamanifestowała swej wdzięczności.

Z drugiej strony OZN, stwierdziwszy w szeregu niemiłych doświadczeń wartość swej próby organizacyjnej, podjętej na terenie parlamentu, nie ma najmniejszego powodu do martwienia się dalszym biegiem wypadków. Bo wypadki te wyjaśniają i upraszczają sytuację. Wybór płk. Sławka potwierdza obawy co do oblicza Sejmu. Dowodzi, że tu konsolidacja jest wykluczona, że tu wykluczona jest rewizja ordynacji wyborczej, że energię, zużywaną przez kierownictwo OZN na terenie parlamentu, można i należy przerzucić na inne i wdzięczniejsze i ważniejsze odcinki pracy. Okazuje się również, że parlament obecny należy do tych objektów, co do których poglądy OZN i szerokiej opinii publicznej są zgodne.

Parlament ten mianowicie, mimo wielokrotnie podejmowanych prób, by go podźwignąć i uczynić reprezentantem żywych sił i prądów, nie może wyzwolić się ze swego grzechu pierworodnego. Powoli, niewątpliwie wbrew swej woli, ale z jakąś dramatyczną konsekwencją zbliża się do skróconego zakończenia swej roli.

Obóz Zjednoczenia Narodowego w tym ostatnim akcie udziału nie bierze. Nie ma czego ratować, nie może tu nic przerobić, nie widzi pożytku w tym, by nieuniknionym losom zapobiegać. Ogrom pracy, jakiego wymaga żywe i zdrowe społeczeństwo, jest dostatecznie pochłaniający. Tu bowiem, a nie przy ul. Wiejskiej, tworzy się nowa, inna Polska.

—o—

Deklaracja Legionowo-Peowiacka

uchwalona na Zjeździe delegatów Zw. Leg. Pol. i P. O. W. w czerwcu b. r.

My, szeregi legionowo-peowiackie, jako zwarty obóz byłych żołnierzy Komendanta Józefa Piłsudskiego, stwierdzamy niezłomną postawę i wolę wypełniania obowiązku, włożonego na nas przez Naczelnego Wodza, Marszałka Śmigłego - Rydza, podnoszenia życia polskiego wzwyż we wszelkich jego dziedzinach. Ponad ambicje i sympatie osobiste, ponad trudy i troski życiowe, Legioniści i Peowiacy niezłomnie bronić będą najwyższego honoru — honoru służby Ojczyźnie. Honor służby wymaga od nas, byśmy spuściznę po Komendancie stale pomnażali, a pracą swoją na każdym stanowisku tworzyli Polskę mocniejszą i doskonalszą.

Przez służbę w szeregach strzeleckich, drużyniackich, legionowych i peowiackich, przez walkę o niepodległość, przez wspólną szkołę wychowania żołnierskiego i obywatelskiego, jaką przeszliśmy, łączy nas wszystkich wielka odpowiedzialność wobec dnia dzisiejszego i wielkiego jutra Rzeczypospolitej.

Ofiarnością swoją i pracą, jednością braterską, wysiłkiem ducha i serc naszych — pobudzać będziemy naród do pełniejszego i doskonalszego życia, na którym oparta musi być potęga Państwa i jego siły obronne.

W tym marszu kolumnowym legionowo-peowiackim przewodzi Wódz Naczelny, Marszałek Śmigły - Rydz. Rozkazy Jego i powierzone nam zadania wypełniać będziemy w poczuciu żołnierskiej dyscypliny i pełnej ufności do Wodza.

Obóz Zjednoczenia Narodowego, powołany do życia przy poparciu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przez Marszałka Śmigłego - Rydza, prowadzi do wytworzenia w narodzie polskim zorganizowanej i jednolicie kierowanej woli do podciągnięcia Polski wzwyż.

Legioniści i Peowiacy winni brać udział w pracy nad zjednoczeniem wszystkich sił czynnych w narodzie.

Z postawy naszej i ducha naszego płynie wielki nakaz: Legioniści i Peowiacy naprzód, do największego wysiłku i największej ofiary, by wespół z tymi, którzy poczuwają się do odpowiedzialności za przyszłość Polski, pociągając za sobą młode pokolenie, wyrastające już w słońcu wolności — usuwać wszystko, co dzieli, a budzić jedność całego narodu w rzetelnej pracy dla wielkości Polski.

JAN BAJOREK

DWA SŁOWA

Słowa żyją swoim odrębnym życiem. Żyją, umierają i leżą przykryte pyłem zapomnienia, by po latach znów zbudzić się do życia, często w innym znaczeniu. Są słowa pospolite, płaskie, wyświechtane, jak pieniądz starty długoletnim użyciem, są słowa mocne, ważkie. Znaczenie słowom nadają ludzie i stąd pochodzi tak częsta nieraz zmienność znaczeń. Słowo, które wczoraj było na ustach wszystkich naczelnym hasłem, spadnie jutro w otchłań zapomnienia, wdeptają je w błoto uliczne przeciwnicy, wykreślą ze swego słownika stateczni ludzie, wyprą się go wczorajsi sprzymierzeńcy a gazety postawią pod pręgierz i wyszydzą opuszczone, biedne, zmaltretowane słowo. A słowo jest niewinne. Winna jest treść, znaczenie słowa — a raczej winni są ci, którzy to znaczenie urabiają. Słowu należy się rehabilitacja a pod pręgierz trzeba postawić tych, którzy wagę słowa obniżają, którzy pod wzniosłe słowa podstawiają swoją nikczemną treść.

Z górą ćwierć wieku temu dwa słowa cieszyły się u nas największym szacunkiem: słowo „narodowy" i słowo „demokratyczny". Każdy, komu sprawa niepodległości leżała na sercu uważał się za narodowca, — każdy. kto w ludzie wiejskim i ludzie pracującym widział brata — określał się nazwą demokraty. Były to szczytne pojęcia, stały niejako na szczycie społecznej terminologii. Ale nie długo. Rychło słowo „narodowy" stało się synonimem biernej uległości wobec zaborcy, synonimem wierności łańcuchowego stróża, co uwiązany na podwórku swego pana szczeka i gotów jest kąsać nawet własnych braci, którzy z bronią w ręku usiłowali wypłoszyć tego pana z bezprawnie zajętego domu. Słowo „narodowy" stało się pokrywką kołtuństwa, domorosłych idei; słowem „narodowy" mógł posługiwać się każdy kabotyn, szalbierz i oszczerca byle tylko głośno krzyczał, że staje w obronie zagrożonego narodu polskiego. Słowo „narodowy" zeszło na manowce, jedynie słowo „demokratyczny" zachowało podówczas swą godność.

Garstka niepodległościowców, demokratów z krwi i kości nie żonglowała słowem „narodowy" ale realizowała je własną krwią i własnym życiem. Narodowcami nie z nazwy, ale z istoty swojej byli podziemni bojowcy Warszawy, szermierze tajnego nauczania pod zaborami, — narodowcami i demokratami byli legioniści i działający konspiracyjnie peowiacy. Swoje ukochanie Narodu znaczyli legioniści krwawym szlakiem od Kielc aż po warszawską bitwę z bolszewikami. Dokumentem narodowego charakteru i narodowej wartości legionowych demokratów są gęsto rozsiane po polach bitewnych mogiły. Na progu Polski niepodległej stanęła demokracja polska, żołnierz, akademik, chłop i robotnik w pełnej aureoli sławie. Byli to demokraci z pochodzenia, przekonania i z pozycji społecznej. Byli narodowcami równocześnie, bo walczyli o wolność narodu, o własne państwo.

Słowem „narodowy" nie posługiwał się obóz niepodległościowy, w okresie wielkiej wojny, a i później, bo słowo o zbyt żywo przypominało złamanie bojkotu szkolnego po r. 1905, i walki bratobójcze w Łodzi, — łaszenie się koło rosyjskiego buta i wszystko inne, zgoła nie narodowe, a osłanianie jedynie „narodowym" płaszczykiem. Obóz niepodległościowy posługiwał się chętniej terminem „państwowy", bo państwo polskie z takim trudem i kosztem tylu ofiar zdobyte, było dla Narodu najwyższym celem dążeń. Słowem „narodowy" posługiwali się nadal ludzie frazesu, którzy Polskę uważali za wygodne żerowisko, a forum parlamentarne za targowicę interesów partyjnych, póki ich nie przepędził surowy bicz Marszałka w 1926 r.

Zmianom uległo z biegiem lat również znaczenie słowa „demokratyczny". Słowem demokratyczny posługiwał się wybujały tuż po wojnie pacyfizm, za państwa demokratyczne uważają się nie tylko Francja ale i Czechosłowacja a nawet Rosja Sowiecka. Słowo „demokratyczny" podniosło swój kurs na międzynarodowej giełdzie politycznej. Stało się często zdradziecką przynętą dla nieuświadomionych. Stało się osłoną dla wszelkich, nie rzadko podejrzanych, machinacji. Stało się atutem w ręku nielojalnych mniejszości narodowych, stało się narzędziem walki z tymi, którzy w miejsce anarchii i rozprzężenia pragnęli wprowadzić w państwie silną władzę. Słowem „demokratyczny" szermują dziś maklerzy międzynarodowej giełdy politycznej światowego żydostwa, tak, jak posługuje się również nim misterna propaganda Kominternu.

W dzisiejszych czasach słowo „narodowy" przeżywa początek renesansu. Dorosło pokolenie, nie znające lat niewoli, dla którego słowo „narodowy" odzyskuje swoje właściwe znaczenie. Wraca i obóz niepodległościowy do tego słowa, które przez tyle lat było poniewierane i nadużywane przez ludzi nieodpowiednich.

W miarę jak słowo „narodowy" idzie w górę, słowo demokratyczny schodzi niżej, stacza się, można rzec, na poziom zupełnie niewłaściwy. Jest nadużywane, strzępione przez każdego kto tylko zechce. Jest często parawanem gier i gierek grup społeczno-politycznych i narodowościowych.

Nie mogę się pogodzić z tym, aby demokracja, tak jak dziś jest na ogół pojmowana, miała polegać m. in. na zwalczaniu nacjonalizmu polskiego przy równoczesnym osłanianiu i popieraniu nacjonalizmu żydowskiego czy ukraińskiego. A wystarczy przestudiować naszą prasę „demokratyczną", aby się przekonać, że niestety, taką jest praktyka naszych ugrupowań demokratycznych.

Nie mogę pogodzić się z tym, by demokracja dzisiejsza miała ułatwiać świadomie, czy nieświadomie, krecią robotę państw obcych, — tak, jak niedopuszczalne jest bazowanie ruchu narodowego na obcych wzorach lub nawet, jak to miało miejsce w Rumunii, za obce pieniądze i dla cudzych widocznie celów.

Słowa „narodowy" i „demokratyczny" zboczyły z drogi. Podłożono im obcą, nieznaną dawniej treść. Czas je zrehabilitować, przywrócić do początkowego szlachetnego znaczenia. Typem Polaka-narodowca nie może być szowinistyczny rycerz pałki i kastetu tak, jak demokratą nie jest ani zamaskowany totalista, ani rozwichrzony, komunizujący, lewicowy doktryner. Na określenie przymiotnikiem „narodowy" nie zasługują ci, którzy gwiżdżą na armię defilującą w dniu święta Niepodległości a w czasie krytycznych chwil konfliktu litewskiego potrafią jedynie siać zamęt i organizować „marsz na Warszawę". Na nazwę „demokratyczny" nie zasługują różni dzisiejsi „demokraci", którzy osłaniają m. in. szowinistyczne cele mniejszości narodowych, nie zdając sobie sprawy, że dziś postępowanie to, chociaż szkodliwe, może być cenione jako taki czy inny nierozumny gest, ale w czasie wojny graniczy to wprost ze zdradą własnego narodu.

Ideał Polaka narodowca i demokraty tkwi w typie bojownika o Niepodległość. Narodowcami i demokratami byli Okrzeja, Montwiłł-Mirecki i inni, narodowcami i demokratami byli legioniści, walczący o Polskę wolną i sprawiedliwą dla wszystkich, — o Polskę niepodległą, niezawisłą od obcych państw, — o Polskę samodzielną, wolną od wpływu i działania obcych agentur, wszystko jedno, czy to będą agentury prawicowe czy lewicowe, czarne czy czerwone. Paradoksem jest, że najpiękniejsze określenie wzoru dzisiejszego Polaka — „narodowy demokrata" — łączy się z pojęciem niesławnej przeszłości grupy ludzi, którzy tym nazwali się imieniem. Słowa nie zawiniły tu nic. Zawinili ludzie nadużywający słów. Walka, jaką toczy się dziś o słowa, musi być zastąpiona walką o treść.

——o——

Grzechy lwowskiej kurii biskupiej

(wś) We Lwowie zorganizowano wystawę krajoznawczą pn. „Okolice Lwowa". Inicjatorem wystawy było PTK a właściwie jeden z jego najczynniejszych działaczy dr Uhorczak. Na wystawie tej znalazło się wiele interesujących map, wykresów, zestawień. Celem wystawy była charakterystyka wartości regionu lwowskiego jako terenu turystycznego, ewolucji jego rozwoju ludnościowego, przemian narodowościowych itd.

Zdawałoby się, że na wystawie, zorganizowanej przez instytucję tak wybitnie apolityczną, jak Tow. Krajoznawcze, mogą się znaleźć eksponaty, ilustrujące w różny sposób i różnymi środkami splot wielu niewątpliwie ciekawych problemów okolicy Lwowa, ale nikt chyba nie spodziewałby się, że wystawa ta, przygotowana z olbrzymim nakładem pracy i starannością naprawdę zdumiewającą — jeżeli wziąć przy tym pod uwagę zupełną bezinteresowność wysiłku organizatorów — będzie miała wiele akcentów właśnie typowo politycznych i to z rodzaju najbardziej niepokojących.

A jednak tak się stało. Oczywiście nie jest to winą PTK. Zgrupowane na wystawie materiały cechuje ścisłość pracy naukowej. Decydujący głos ma tu statystyka. Ale jaka statystyka budzi właśnie największe zdumienie: — statystyka kompromitujących błędów statystycznych...

Nie mamy najmniejszego zamiaru atakować tutaj kogokolwiek. Będziemy operować prawie samymi cyframi w spokojnych, obiektywnych zestawieniach porównawczych. Wymowa tych cyfr będzie napewno bardziej przekonywująca od najlepiej sformułowanych argumentów i z dostateczną plastyką przedstawi obraz błędów lwowskiej rzymsko-katolickiej kurii biskupiej, która — trudno zrozumieć dla jakich celów — uprawia dość dziwną i naprawdę wybitnie niepokojącą politykę narodowościową.

Zanim przejdziemy jednak do sprawy najważniejszej, zwróćmy marginesowo uwagę na Rocznik statystyczny kościoła katolickiego w Polsce pod redakcją słynnego skądinąd o. Mariana Pirożyńskiego i dr Stanisława Szczecha. Rocznik ten, jak wiadomo, ukazuje się w serii wydawnictw Biblioteki Książek Chrześcijańskich. Zasadniczo sprawa tego rocznika nie dotyczy bezpośrednio poruszanego tu zagadnienia, jednak tematycznie łączy się z nim ściśle, są tu bowiem te same akcenty specyficznego stosunku władz kościelnych do problemu narodowościowego — dowody niewłaściwej oceny tego problemu, przejawiającej się nawet w używaniu niewłaściwej terminologii. Trudno bowiem zrozumieć, jaką polityką kierowali się redaktorzy rocznika statystycznego, wykuwając nazwę „obrządku grecko-ruskiego". Jakim cudem znalazła się w oficjalnym roczniku kościelnym ta nomenklatura? Czy obrządek ten przestał być grecko-katolickim? Czy oficjalnie stał się obrządkiem narodowo-ruskim? Dotąd bowiem wiedzieliśmy, że obrządek grecko-katolicki nie zawsze bywa ruski, że często bywa on polski, że Polacy greko-katolicy od dawna toczą walkę o polską cerkiew grecko-katolicką, że w wielu wypadkach narodowościowo-ruska struktura tego obrządku budzi poważne zastrzeżenia, ponieważ opiera się na zrusyfikowanym elemencie polskim.

Ale redaktorzy rocznika widocznie udają, że nic o tym nie wiedzą.. Stworzyli obrządek grecko-ruski i skrupulatnie zaszeregowali tam także Polaków greko-katolików. Jeżeli zwrócimy przy tym uwagę, że nacjonaliści ukraińscy cerkiew grecko-katolicką nazywają po prostu cerkwią ukraińską, łatwo zrozumiemy ich zadowolenie z tego zwiększenia im pozycji statystycznej przez rzymsko-katolicki rocznik kościelny. Jest to tym bardziej dziwne, że chyba nikt tak dobrze nie wie, jak właśnie redaktorzy tego rocznika, że cerkiew grecko-katolicka nigdy nie była cerkwią narodową, że nawet w cerkwi Wołoskiej jeszcze w pierwszych latach powojennych odbywały się w języku polskim kazania.

Przejdźmy jednak do spraw poważniejszych, w których grzechy lwowskiej rzymsko-katolickiej kurii biskupiej występują w sposób bardziej rażący. Jest to sprawa rocznych schematyzmów kurii rzymsko-katolickiej i grecko-katolickiej. Zdawałoby się, że w tej dziedzinie, w suchych cyfrowych zestawieniach statystycznych, przeprowadzanych przez instytucję, których powaga wysokiej hierarchii kościelnej nie powinna dopuszczać najmniejszych wątpliwości, nie znajdzie się nic takiego, co mogłoby się stać przedmiotem polemik i odgłosów alarmujących. A jednak... Wystarczy poświęcić chwilę czasu na porównanie obu schematów. Trud ten opłaca się znakomicie. Po przestudiowaniu

tych dokumentów, sprawa — pozornie błaha, rozrasta się do do rozmiarów skomplikowanego problemu, budzi najdziwniejsze refleksje, każe się domyślać, że poza oficjalną polityką narodowościową — gdzieś, ktoś — uprawia jeszcze inną politykę, pod kątem własnych interesów.

Weźmy taki prosty przykład: na 125 gromad powiatu lwowskiego schematyzm grecko-katolicki wykazuje więcej rzymsko-katolików w 29 gromadach, niż schematyzm rzymsko-katolicki. Oto typowe miejscowości, gdzie kuria grecko-katolicka wykazuje w swoim schematyźmie więcej ludności rzymsko-katolickiej, niż kuria rzymsko-katolicka: Rzęsna Polska, Siemianówka, Biłka Szlachecka, Barszczowice.

W Jaryczowie Starym kuria grecko-katolicka wykazuje o 25 procent więcej rzymsko-katolików, niż kuria rzymsko-katolicka. W Kukirowie schematyzm grecko-katolicki wykazuje **o pięćdziesiąt procent** więcej rzymsko-katolików. We wsi Gręda kuria grecko-katolicka wykazuje dwukrotnie większą ilość rzymsko-katolików, niż kuria rzymsko katolicka. W Szczercu, według schematyzmu gr.-kat. jest 150 rzymsko-katolików, a według schematyzmu rzymsko-katolickiego — zaledwie pięćdziesięciu... Identyczny stan jest w Gajach, gdzie schematyzm grecko-katolicki wykazuje trzykrotnie więcej ludności rzymsko-katolickiej.

Stan ten przedstawia się o wiele katastrofalniej w miejscowościach mniejszych: tam politycy statystyczni lwowskiej rzymsko-katolickiej kurii biskupiej po prostu nie przyznają się do ludności rzymsko-katolickiej, nie uwzględniają jej zupełnie w swoich schematyzmach. Dowiadujemy się o istnieniu tej ludności dopiero z schematyzmu kurii grecko-katolickiej.

W jakim celu robi się taką statystykę, komu na tym zależy i komu to potrzebne?

Zdaje się, że jest rzeczą niemożliwą i nieprawdopodobną, aby jakiekolwiek błędy statystyczne i to błędy, wykazujące w wielu miejscowościach większą ilość ludności rzymsko - katolickiej, mogły być popełniane przez kurię grecko-katolicką. Dowodem tego szereg faktów niewątpliwych i bezspornych, że kuria grecko-katolicka uprawia zakrojoną na szeroką skalę **kradzież dusz** rzymsko-katolickich. A więc w jakim celu miałaby wykazywać, że np. w Biłce Szlacheckiej lub w Rzęśnie Polskiej jest więcej rzymsko-katolików, niż wykazuje to kuria rzymsko-katolicka, skoro statystyką swoją dowodzi, że w Biłce Królewskiej jest aż 1170 greko-katolików, a tylko 700 rzymsko-katolików, co jest oczywistym kłamstwem, bo stosunek jest akurat odwrotny.

Podobnych dowodów uprawiania kradzieży dusz przez kurię grecko-katolicką możnaby przytaczać bardzo wiele i bardzo znamiennych. Nieraz są to cyfry, budzące nie tyle uczucia zdumienia, ile śmiech serdeczny, gdzie tendencyjne preparowanie statystyki wyznaniowej razi swoim prymitywizmem, swoją naiwnością bezgraniczną i chyba zupełnym brakiem poczucia śmieszności. Trudno bowiem inaczej sądzić schematyzm grecko-katolicki, jeżeli z jego cyfr wynika, że w Pustomytach jest zaledwie 570 rzymsko-katolików, gdy jest faktem niewątpliwym, że stan ludności rzymsko-katolickiej jest tam przeszło dwukrotnie większy.

Nie inaczej też przedstawia się sprawa z podlwowskim Skniłowem i Skniłówkiem. Według schematyzmu grecko-katolickiego w Skniłowie posiadamy zaledwie 70 rzymsko-katolików, a w Skniłówku — 130. Zdaje się jednak, że w tym wypadku, gdy mowa o miejscowościach dobrze znanych każdemu lwowianinowi, nieścisłość statystyczna kurii grecko-katolickiej występuje w sposób już nie tyle ryzykowny, ale poprostu — w sposób obliczony chyba na polską naiwność, lub zupełny bezkrytycyzm. Schematyzm naszej kurii wykazuje, że w Skniłowie jest 500, a w Skniłówku 340 rzymsko-katolików. Nie wiem, czy są to obliczenia pewne, ale niepewność ich może być traktowana w sensie tylko korzystniejszym dla nas.

Razem, na ogólną ilość 125 gromad, schematyzm grecko-katolicki wykazuje w 51 gromadach tendencyjnie mniejszą ilość ludności rzymsko-katolickiej, niż jest w rzeczywistości.

Podobnych zagadnień a może o wiele poważniejszych, w polityce wyznaniowo-narodowościowej kurii biskupich rzymsko- i grecko-katolickich jest znacznie więcej, niż znalazło się w tym artykule. Tym razem przedstawiliśmy tylko jeden grzech tych instytucyj, grzech natury statystycznej. W najbliższym czasie omówimy dalsze, nie mniej interesujące zagadnienia polityki kościelnej i cerkiewnej, zdążającej krańcowo różnymi drogami do różnych celów, często mijających się zupełnie z linią polityki państwowej.

Zjazd delegatów Zw. Legionistów Polskich i P. O. W.

W dniu 25 czerwca br. odbył się w Warszawie zjazd Związku Legionistów Polskich, zwoływany w myśl statutu co dwa lata.

Na poprzednim walnym zjeździe delegatów w dniu 24 maja 1936 roku Marszałek Edward Śmigły-Rydz wygłosił znane przemówienie o zjednoczeniu narodu i dźwignięciu Polski wzwyż pod hasłem obronności Państwa. Tegoroczny walny zjazd delegatów również zaszczycił swą obecnością Marszałek E. Śmigły-Rydz, powitany u wejścia przez premiera gen. Sławoja Sładkowskiego oraz komendę naczelną Związku Legionistów Polskich.

Wobec nieobecności komendanta naczelnego Związku, płk. Adama Koca, zjazd zagaił gen Zarzycki, witając Naczelnego Wodza, którego uczestnicy zjazdu uczcili powstaniem, długotrwałymi oklaskami oraz okrzykami „Niech żyje!"

Na prośbę przewodniczącego zjazdu zabrał głos Marszałek Edward Śmigły Rydz, wygłaszając przemówienie, które odnosi się nie tylko do legionistów.

Przemówienie Marszałka Śmigłego Rydza przyjęto okrzykami na Jego cześć.

Wskazanego przez Marszałka jako nowego Komendanta Naczelnego Związku Legionistów, płk. Juliusza Ulrycha — zjazd wybrał przez aklamację. Płk. Ulrych obejmując przewodnictwo zjazdu, wezwał zebranych uczestników do wspólnego złożenia w Belwederze hołdu Wielkiemu Marszałkowi.

Po powrocie z Belwederu podjęto dalsze obrady, na wstępie których pułk. Ulrych odczytał wspólny wniosek Kół Pułkowych i Okręgów Związku o wprowadzenie do statutu następującego postanowienia:

„Honorowym Komendantem Naczelnym Związku Legionistów Polskich jest dożywotnio Naczelny Wódz Marszałek Edward Śmigły-Rydz".

Wniosek ten sala przyjęła przez aklamację, manifestując serdecznie na cześć Naczelnego Wodza.

Następnie prezes zarządu głównego P. O. W. min. Kościałkowski wygłosił przemówienie na temat kogłosił przemówienie na temat konieczności współpracy legionowo-peowiackiej, po czym zabrał głos pułk. Ulrych. Stwierdził on m. in., że dzieło spoistości wewnętrznej naszego narodu musi być doprowadzone do końca. Pracę swoją opieramy na konstytucji kwietniowej, która dąży do zorganizowania woli społeczeństwa na platformie społecznej, a nie na platformie partyjno - politycznej. W pracy obywatelskiej trzeba łączyć, a nie dzielić.

Po wyborze nowych władz Związku, zjazd wysłał depesze do P. Marszałkowej Piłsudskiej i do płk. Koca.

*

W dniu 29 i 30 czerwca br. odbył się Walny Zjazd delegatów P. O. W. w Wilnie.

W drugim dniu obrad Delegatów Związku Peowiaków w Wilnie przybył Naczelny Komendant Związku Legionistów min. płk. Ulrych, witany przez przewodniczącego Zjazdu wicewojewodę Lepkowskiego.

Pułk. Ulrych wygłosił następujące przemówienie:

W imieniu Związku Legionistów Polskich pozdrawiam Waszą bratnią organizację, z którą łączą nas wspólne przeżycia, wspólne boje, wspólne dole i wspólne niedole. Pragnę na wstępie podziękować Waszemu prezesowi za udział w naszym Zjeździe — walnym Zjeździe delegatów.

Przybywam do Was, aby jednocześnie zaprosić Was na największy przegląd sił legionowo - peowiackich, jaki odbędzie się w 25-lecie wymarszu Pierwszej Kadrowej. Pragniemy w roku przyszłym uczynić przegląd naszych zwartych szeregów. Szeregi peowiackie i legionowe musimy pomnożyć o młode siły, o siły czynne w narodzie.

Siły te mobilizujemy na platformie Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Proszę obywateli, pieśń Pierwszej Brygady, pieśń straceńców, stała się po wielu laty pieśnią zwycięzców. Lecz nasz Wielki Komendant, Józef Piłsudski, uczył nas, że w służbie dla Polski nigdy nie wolno spocząć na laurach. To też ideę naszą: dzieło spoistości wewnętrznej naszego narodu, musimy doprowadzić do końca. Idei tej my, peowiacy i legioniści, chcemy być chorążymi. Dookoła osoby Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza Marszałka Edwarda Śmigłego - Rydza zmobilizujemy tysięczne masy Polaków, wiodąc Polskę do wielkości i potęgi.

Po tym przemówieniu, przerywanym hucznymi oklaskami, prezes Zw. Peowiaków min. M. Zyndram-Kościałkowski odczytał wspólną deklarację legionowo-peowiacką, której tekst podajemy na str. 1.

Deklarację Zjazd przyjął przez aklamację wśród entuzjastycznych manifestacyj.

Również przez aklamację wśród burzliwych owacyj na prezesa Zw. Peowiaków został ponownie wybrany min. M. Zyndram - Kościałkowski, który w płomiennych słowach porównał dzisiejszą gotowość Peowiaków „dźwigania Polski wzwyż" z ich czynami przeszłości, gdy na rozkaz Komendanta Józefa Piłsudskiego szli służyć wiernie Ojczyźnie.

Mowa Marszałka Śmigłego Rydza na Zjeździe Zw. Legionistów

Koledzy! Nie dysponuję dziś wielką ilością czasu, nie mniej jednak postanowiłem przybyć do was i złożyć wam serdeczne życzenia, abyście w w sposób jak najbardziej szczęśliwy i jak najmądrzejszy ułożyli i poprowadzili prace swego zjazdu. Jak słusznie powiedział p. generał Zarzycki przed chwilą, doceniam wasze prace i muszę więc głęboko interesować się życiem wewnętrznym Związku Legionistów.

Dobitny wyraz tego zainteresowania dałem na zjeździe waszym w roku 1936. Wtedy też skłoniłem pułkownika Adama Koca, ażeby wziął na siebie funkcję naczelnego komendanta. Z tego też powodu poczuwam się do szczególnego obowiązku dziś, gdy on odchodzi do innej roboty, podziękować mu za jego gotowość do każdej pracy i do każdego obowiązku, za tę jego dyspozycyjność bez reszty, tak wybitnie i tak dodatnio w każdej sytuacji go znamionującą.

Podobnie było i wówczas, gdy wziął na siebie jeszcze jedno zadanie, obok innych, trudnych, zabierających mu już dużo czasu obowiązków.

Równocześnie chcę złożyć życzenia następcy jego, w osobie — mam niezłomną nadzieję — płk. Ulrycha, któremu życzę, by jego energia, rozmach, entuzjazm pracy i inicjatywa stały się motorem pracy Związku Legionistów i dały wyniki zadowalające jego i nas wszystkich, którym zależy na tej pracy.

Koledzy! Będę mówił do was językiem wojskowym, mimo, że w tej chwili nie zwracam się do tych, którzy mają mundur wojskowy na sobie, lecz do tych, którzy pracują w życiu publicznym.

Jestem głęboko przekonany, że ogromna większość legionistów, podobnie jak i peowiaków, działa i pracuje w życiu publicznym, stanowiąc *doświadczone i wypróbowane jego kadry.* Te kadry powinny i muszą zwiększać się dopływem ludzi z poza naszego środowiska, ludzi, mających dobrą wolę i chęć służenia Polsce — dopływem przede wszystkim młodzieży.

W ten sposób tworzy się i wychowuje u nas zespół ludzi, którzy w sposób doświadczony, umiejętny i odpowiedzialny mogą kierować na-

szym życiem wewnętrznym i naszym życiem państwowym.

Jest to coś podobnego do dawnej armii napoleońskiej ,która była stopem, zespołem dwóch zasadniczych pierwiastków: wypróbowanego żołnierza, *umiejącego* zwyciężać i młodego żołnierza, *uczącego się* zwyciężać.

W tym momencie przemawiam do tego wypróbowanego, umiejącego zwyciężać żołnierza. Nie jesteśmy w przededniu bitwy. Nie jesteśmy w przededniu bitwy dlatego, że bitwa już trwa; trwa od dłuższego czasu. Jest to bitwa o budownictwo jutra Polski. Cele tej bitwy są znane, zadania jej są wiadome. Jak długo te cele nie będą osiągnięte, jak długo nie będą spełnione zadania, trudno mówić — używając terminu wojskowego — o „wykorzystaniu", trudno mówić o dawaniu nowych zadań, czy nowych rozkazów.

A w tej bitwie ,którą toczymy, są, wedle mego przekonania, dwa zasadnicze elementy, ugruntowane w sposób niezbity, niezaprzeczalny w naszych psychikach.

Jakiż to pierwszy element?

Polska w doświadczonych, mądrych, a twardych rękach Komendanta, wśród ciężkich nieraz przeżyć, doszła do ugruntowania u siebie mocnej władzy, władzy umiejącej decydować i realizować, stojącej niezachwianie na gruncie interesu państwowego, gwarantującej ciągłość poczynań w skali państwowej i konsekwencji decyzji — władzy, stwarzającej na zewnątrz poczucie pewności i określoności jutra.

Każdy rozsądny człowiek w Polsce zdaje sobie dokładnie sprawę, jak wielkim nabytkiem jest ta zdobycz dla Polski. Każdy rozsądny człowiek w Polsce, któremu na Polsce zależy, wie, że z tej zdobyczy absolutnie niczego ustąpić nie wolno.

Jakiż jest drugi element?

Drugi element, który tkwi w naszej psychice, jest elementem innego rodzaju. Jest to ten element, który każdy żołnierz walczący musi mieć w swojej duszy, jeżeli jest dobrym żołnierzem. Jest to wiara w zwycięstwo.

A niewątpliwie, Koledzy, mamy w tej walce o wiele więcej sprzymierzeńców, aniżeli komukolwiek się wydaje.

Mamy tych sprzymierzeńców nie wśród „kawiarnianych statystów", nie w mafiach i mafijkach, zżerających się nawzajem i kwaszących się w atmosferze bezpłodności, napewno też nie w redakcjach tych dzienników, które uważają za swoje posłannictwo szczuć jednych na drugich, rzucać na wszystko, co się robi, cień podejrzenia, nastawiać wszystkich przeciwko wszystkim, używać najwartościowszych rzeczy, najbardziej odpowiedzialnych zagadnień, jako wilczych dołów przeciw rzekomym, czy prawdziwym przeciwnikom. Nie w tych ludziach mamy swoich sprzymierzeńców.

Mamy ich natomiast wszędzie tam, gdzie wre praca i powstają nowe warsztaty, gdzie jest zdrowy instynkt narodowy, gdzie jest ambicja, która chce mieć Polskę wielką i dumną, mamy ich wszędzie tam, gdzie wytwarzają się *nowe wartości kulturalne, duchowe i materialne.*

Koledzy! Ja głęboko wierzę w to, że walkę naszą uwieńczy zwycięstwo.

——o——

M. S. W.

Niemiecka polityka wschodnia

Hitler w swej polityce zagranicznej postępuje konsekwentnie. Plan jej, jeszcze przed objęciem władzy kanclerza, nakreślił w najogólniejszych zarysach w „Mein Kampf" w rozdziałach 13 i 14 p. t.: „Związkowa polityka po wojnie" i „Orientacja wschodnia, albo polityka wschodnia". Rozważa w nich dokładnie stosunek Niemiec do poszczególnych państw, przy czym zastanawia się nad tym, które z tych państw, może być w przyszłości sojusznikiem Rzeszy. Polskę, w sposób wyraźny z kręgu możliwych sprzymierzeńców wyklucza, i jeżeli wspomina o niej, to tylko jako o kraju, na którego polach trzeba będzie kiedyś stoczyć walkę z Rosją komunistyczną.

Dlaczego więc, jako kanclerz Rzeszy zabiega o przyjaźń z Polską, i czy robi to szczerze?

Hitler pragnie narazie, aby Polska zachowała bierne stanowisko i wstrzymała się od wszelkiej interwencji na wypadek, gdyby „pod presją nieprzewidzianych wydarzeń(?!)" miało nastąpić przyłączenie do Rzeszy ziem zamieszkałych przez Niemców (vide Austria. Rezerwa Polski w takich wypadkach powiększa wybitnie widoki sukcesu zaborczej polityki kanclerza, oraz umożliwia realizację programu zawartego w „Mein Kampf". Tu więc znajduje się źródło jego przyjacielskich zapewnień pod adresem Polski. Zresztą, pewność co do pokojowych planów kanclerza rozwiewa zdanie, zaczerpnięte z ewangelii Trzeciej Rzeszy:

„Związek, który nie obejmuje zamiaru wojny, jest bez sensu i wartości (749)". A więc jasno i otwarcie: Niemcy zawierają pakty pokoju z myślą o przyszłej wojnie. Chodziło by teraz o to, przeciw komu w końcu obróci się oręż niemiecki po załatwieniu się z Austrią i rozwiązaniu sprawy Sudeckiej? Tym pytaniem zaczepia się o zagadnienie, któremu Hitler wiele miejsca poświęca w „Mein Kampf".

Pisząc o polityce zagranicznej stawia on jako naczelną tezę twierdzenie:

„Celem naszej polityki zewnętrznej jest obszar ziemi (735)".

Racjonalność zaś tego, popiera tym, że

„tylko dostateczna wielka przestrzeń na tej ziemi zapewnia narodowi wolność istnienia (728)".

Gdzie jednak należy szukać tych ziem koniecznych dla rozwoju Rzeszy?

I na to pytanie znajduje Hitler odpowiedź, która szczególnie nas powinna specjalnie zainteresować:

„My narodowi socjaliści zaczynamy tam, gdzie skończono przed sześciu wiekami. Zatrzymujemy odwieczny ciąg Germanów na południe i zachód i zwracamy oczy na kraj na Wschodzie (742)".

Jak zaś wielką wagę przywiązuje kanclerz do wschodnich granic, świadczy o tym następujące zdanie:

„Nie zachodnia i nie wschodnia orientacja ma być w przyszłości celem naszej zagranicznej polityki, ale polityka wschodnia w znaczeniu zdobycia niezbędnej roli dla naszego niemieckiego ludu (757)".

Zdawałoby się, że wobec sojuszu z Polską Hitler zechce ugodowo załatwić sprawy sporne i pójdzie na kompromis, byle tylko zapewnić Rzeszy pokój, o którym przy każdej sposobności tak chętnie i wiele mówi. Iluzję tego przypuszczenia rozwiewa zdanie:

„Uciśnionych krajów nie przywraca się na łono wspólnej Rzeszy płomiennymi protestami, lecz zdolnym do uderzenia mieczem".

I jak uprzykszony refren powtarza się to w „Mein Kamp":

„Odzyskanie utraconych obszarów nie następuje przez odświętne wzywanie Pana Boga, albo przez pobożne życzenia do związku ludów, lecz przez siłę zbrojną (708)".

Kończy zaś te wynurzenia militarne równie wojowniczo brzmiącym zwrotem:

„Dzisiaj kieruję się jedynie trzeźwym zrozumieniem, że utraconych obszarów nie odzyskuje się wyostrzonymi językami, oszlifowanych, parlamentarnych pyskaczów, ale przez wyostrzony miecz, a więc przez krwawą walkę (710)".

Nic dziwnego, że państwa sąsiednie, znając tak wyłuszczony program polityki zagranicznej kanclerza Rzeszy, łożą olbrzymie sumy na zbrojenia. Hitler zaś, w „politycznym testamencie narodu niemieckiego", pisze:

„Powinniście widzieć w każdej próbie organizowania na granicach niemieckiej potęgi militarnej, (poza Francją) choćby w postaci tworzenia się państwa zdolnego do militarnej potęgi, napaść na Niemcy i dalej winniście dojrzeć nie tylko prawo, ale obowiązek w przeszkodzeniu wszelkimi środkami, aż do użycia przemocy zbrojnej, powstaniu takiego państwa, szczególnie zaś takie, jeśli już powstało, rozbić! (754)".

Tak więc ugodowość Hitlera wobec Polski jest podyktowana jedynie warunkami chwili a zmieni się oczywiście natychmiast, gdy Niemcy wzmocnią się do tego stopnia, że będą mogły upomnieć się „wyostrzonym mieczem" o ziemie na Wschodzie. Pokojowe zapewnienia kanclerza przeznaczone są tylko na eksport, dla zagranicy, wewnątrz zaś Rzeszy naczelnym hasłem dnia jest zbrojenie się celem „odzyskania utraconych obszarów".

Czas unormować stosunki z Niemcami w Małop. Wschodniej!

Odział Związku Legionistów Polskich we Lwowie, na zebraniu dyskusyjnym w dniu 18. VI. 1938 r., poświęconym całokształtowi problemu niemieckiego w Małopolsce Wschodniej, powziął następujące rezolucje:

1) Od 20 lat rządy w Kościele Ewangelickim na terenie Małopolski Wschodniej pozostają w jaskrawej sprzeczności z obowiązującym ustawodawstwem polskim. Od kilku lat Władze tegoż Kościoła prowadzą politykę nacjonalistyczno-pangermańską, zmierzającą nie tylko do rozszerzenia stanu posiadania niemieckiego, ale do przejęcia pod swoją władzę polityczną nawet tych potomków Niemców, którzy dawno już wrośli w społeczeństwo polskie.

Ponieważ obecne rządy w Kościele Ewangelickim w Małopolsce nie opierają się na żadnym akcie prawnopaństwowym (kierownictwo Kościoła, samozwańczo wyłonione, nie postarało się w ciągu 20 lat o legalizację u Rządu Polskiego) i nie uwzględniają interesów ewangelików-Polaków, stanowiących jedną trzecią ogółu wiernych tego Kościoła, prosimy: Świetne Ministerstwo W. R. i O. P. zechce łaskawie w stosunki te wglądnąć, by je unormować i położyć kres stanowi ex lex.

2) Mniejszość niemiecka w Małopolsce Wschodniej mieszka przeważnie w osiedlach mieszanych pod względem narodowościowym. Mimo to Niemcy mają ponad 100 szkół prywatnych z językiem wykładowym niemieckim. Wbrew przepisom, że szkoły te przeznaczone są dla dzieci rodziców niemieckich, przyjmuje się do tych szkół młodzież polską a metody werbowania dzieci do szkół niemieckich budzić muszą zastrzeżenia nie tylko z punktu widzenia państwowego, ale także i prawnego.

Kupowanie dusz polskich odbywa się w najrozmaitszych formach, co budzi u Polaków słuszne oburzenie. Metody te prowadzą do zaognienia stosunków między potomkami dawnych kolonistów austriacko-niemieckich a społeczeństwem polskim.

Oburzenie społeczeństwa polskiego z powodu metod, stosowanych przez germanizatorów, tworzących sztucznie zbiorowość niemiecką w Małopolsce Wschodniej, jest tym większa, że szkoły niemieckie subwencjonowane są z funduszów zagranicznych, przy czym zagadkowa jest rola tzw. „Wanderlehrer", czyli wędrownych agitatorów w służbie pangermanizmu. Z tego powodu wnosimy: Świetne Ministerstwo W. R. i O. P. raczy zarządzić, by z największą ścisłością przestrzegane były przepisy statutu szkół prywatnych niemieckich, w myśl których do szkół tych wolno uczęszczać tylko dzieciom *wyłącznie* narodowości niemieckiej.

3) W szkołach niemieckich na terenie Małopolski Wschodniej znajdują się w bibliotekach szkolnych książki o treści wrogiej i ubliżającej godności Narodu Polskiego. Z książek tych dzieci szkolne korzystają i od najmłodszych lat karmione są nienawiścią do polskości. Fakt ten poruszony jasno i otwarcie na łamach prasy (między innymi 2-tygodnik Legionowy „Wola i Czyn") nie został ani przez lokalną prasę niemiecką, ani przez kierownictwo żadnej ze szkół niemieckich zdementowany, co dowodzi, że fakty w prasie polskiej poruszone opierały się na dowodach konkretnych i ściśle sprawdzonych. Wyrażamy przekonanie, że Świetne Ministerstwo W. R. i O. P. po zaznajomieniu się z tymi faktami, wyda zarządzenia, które odpowiadać będą społeczeństwu polskiemu i Państwowej myśli wychowawczej.

——o——

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

BIESZCZADY — LETNISKO C. O. P.

(ś) Od doliny górnego Sanu na zachodzie aż po dolinę Mizunki na wschodzie ciągnie się górskie pasmo Bieszczadów. Dotychczas mało propagowane, nieuczęszczane przez turystów — Bieszczady — jeden z najpiękniejszych górskich obszarów kraju, znalazł się ostatnio w przede dniu wielkiej przyszłości.

Do niedawna jeszcze nikt bliżej nie interesował się Bieszczadami. Wiadomo wprawdzie, że przewija się tędy europejski główny dział wód, że znajduje się tu wiele cennych zabytków przyrody, wiele historycznych miejscowości, ale popularyzacja tego nadgranicznego fragmentu polskich gór nie była prowadzona z takim nasileniem, aby w ogólnym ruchu turystycznym zajął on miejsce przodujące.

Życie płynęło tu spokojnie. Na południe od górnego Sanu, w Bukowej, Berdzie, Tarnicy, Haliczu na głównym dziale od Starostyny do Pikuja, na grzbiecie Berdo - Staneszcza, na Wysokim Wierchu w południowej części Bieszczadów i na wielu połoninach środkowej części od Paraszki aż po Czyrak — wszędzie ludność zajmuje się pasterstwem. Dziś nic jeszcze nie zmieniło się w tych górach, życie płynie monotonnie jak dawniej, ale rozpoczął się okres nadziei.

Bieszczady, co prawda, i dawniej żyły nadziejami. Ale dawniejsze nadzieje były inne. Piękno cyklów skalnych w dolinach i na stokach grzbietów, słynne skały Urycza i Synowódzka, wspaniały labirynt skalny w Bubniszczu i rozrzucone wśród gór wsie-letniska oraz wiele zdrojowisk — budziły wiarę, że kiedyś przecież zaczną się tutaj zjeżdżać turyści i letnicy, że w dolinach rzek bieszczadzkich rozpocznie się żywszy ruch między wyszeregowanymi chatami górali uboższych tutaj, niż gdzie indziej.

Nie należy zapominać przy tym, że Bieszczady — to nie tylko górski teren turystyczny i letniskowy. Podobnie jak sąsiednie działy Karpat zachodnich, geologicznie zbudowane są z karpackiego fliszu, a w pasie podgórskim obfitują w sól i bituminy, których bogactwo najwspanialej okazało się w borysławskim regionie naftowym. Jest faktem jednak, że rozbudowa szlaków turystycznych i umiejętna propaganda tych szlaków, może stanowić w poważnej skali uzupełnienie naturalnych bogactw gór bieszczadzkich, których „eksploatacja", szczególnie w dziedzinie budownictwa letniskowego, prowadzona jest od niedawna w sposób co raz bardziej planowy.

Przeszłość historyczna Bieszczadów i stanowiącego ich przedłużenie w kierunku południowo-wschodnim górskiego pasma Gorganów ze słynną z walk legionowych Rafajłową, od niepamiętnych czasów związana jest z dziejami Polski na tych ziemiach. Dziś jeszcze spotyka się tutaj wiele trwałych śladów tej przeszłości. Są to ruiny dawnych grodziszcz, ruiny zamczysk, nazwy wsi, które były kolebkami głośnych rodów szlacheckich, albo starych wielowiekowych miast, zakładanych przez polskich królów.

Wymieniać wszystkie te miejscowości, zabytki i pomniki przyrody, wzbogacające naturalne piękno gór bieszczadzkich — to zbyt trudne w ramach jednego artykułu. Ale jak wspomniałem, Bieszczady znajdują się w przede dniu wielkiej przyszłości. Trudno więc, gdy mowa o Bieszczadach, pominąć milczeniem np. słynny Spas, który niegdyś był stolicą kniaziów ruskich, gdzie na malowniczym wzgórzu „Zamczyska" znajdują się ślady zburzonego grodziszcza i ślady myśliwskiego zamku królowej Bony. Albo w sąsiednich Bukowiskach „kamień diabelski". Albo Topolnice Rustykalną i Szlachecką w dolinie Topolniczanki, gdzie w pobliskiej Niedzielnej znajduje się bogate źródło siarczane. Albo Jawor, najstarsza wieś w powiecie turczańskim, która była kolebką szlacheckiego rodu Jaworskich. I wreszcie sama Turka nad Stryjem, ze swoją nazwą pochodzącą od turów, żyjących niegdyś w okolicznych lasach — miasto liczące przeszło 500 lat, założone właściwie przez Władysława Jagiełłę, on to bowiem nadał tę ziemię wojownikowi polskiemu, siedmiogrodzkiemu Wołochowi, który zapoczątkował ród Sas-Tureckich.

Nie brak też w Bieszczadach fragmentów przyrody o charakterze pierwotnym, jak dolina Rybnika, obramowana grzbietami Gromowego Lasu, który tutaj występuje w swojej najdzikszej części, stanowiąc jednocześnie wspaniały teren letniskowy z pomyślnie rozwijającym się Rybnikiem, Majdanem i Małmanstalem.

Nie to jednak, nie warunki letniskowe, ani turystyczne i piękno gór spowodowały, że Bieszczady stają w obliczu lepszej przyszłości. Napewno dużo czasu musiałoby upłynąć, zanim drogą normalnej ewolucji życie tutejszego górala uległoby większym zmianom. Ale Bieszczady znalazły się w promieniu C. O. P. A więc przemiany zaczynają następować, są niewątpliwe, wystarczy pomówić tutaj z ludźmi aby się o tym przekonać. A jeżeli dotychczas jeszcze nie widać tych przemian w terenie, to dlatego, że jeszcze nie czas. Najważniejsze to, że przemiany następują przede wszystkim w psychice bieszczadzkiego górala. Wśród wiosek, rozrzuconych w dolinach rzek bieszczadzkich, wśród ludności wegetującej często beznadziejnie, w warunkach przerażająco prymitywnych, zbudziły się nadzieje. Jest to zrozumiałe, gdyż z rozbudową Centralnego Okręgu Przemysłowego ludzie ci odnoszą wrażenie, że powoli zaczyna się w ich strony przybliżać... świat.

A trzeba powiedzieć, że „świat" od pewnego czasu nabiera co raz większego przekonania do Bieszczadów. Świadczy o tym fakt, że z 83 letnisk miejscowości letniskowych, do których w województwie lwowskim, jest 56 zjeżdżają letnicy z całej Polski i największa ilość tych letnisk przypada właśnie na teren bieszczadzki, gdzie znajdują się słynne Sianki, Rozłucz, Jawora, Sokoliki i Turka — uchodzące również za pierwszorzędne zimowiska.

Budowa C. O. P. stała się najważniejszym i bezpośrednim bodźcem do zespolenia wszystkich sił w celu wyzyskania turystycznych i letniskowych wartości obszarów podgórskich. Powstał nawet specjalny związek powiatów i gmin województwa lwowskiego pod nazwą „Bieszczady", działający na terenie krośnieńskiego, brzozowskiego, rzeszowskiego, sanockiego, leskiego, przemyskiego, dobromilskiego, samborskiego, turczańskiego i drohobyckiego. Do związku tego przystąpiły też 4 miasta wydzielone: Rzeszów, Przemyśl, Drohobycz i Borysław. Rozpoczęto specjalne studia, obliczono dokładnie skąd i ile ludzi przyjeżdża najchętniej w te strony, ustalono, że czołowe miejsce w bieszczadzkim ruchu letniskowym zajmują Ślązacy. Ci najmniej wymagają, nie szukają nadzwyczajnych wygód, są raczej amatorami naturalnych wartości terenu.

Przygotowanie Bieszczadów do spełnienia roli, do jakiej zostały predystynowane, wymagałoby osobnego omówienia. To cały problem. Faktem jest bowiem, że i stan budownictwa we wsiach bieszczadkich i sprawa uświadomienia ludności i stan komunikacji pozostawiają tu wiele do życzenia.

W Rozłuczu, cieszącym się początkowo opinią dobrze rozwijającego się letniska, można by się dowiedzieć ciekawych szczegółów, jak miejscowa ludność wystraszyła przyjeżdżających tam tłumnie letników, obdzierając ich „ze skóry", jak w najdroższych zagranicznych pensjonatach... Wiele też możnaby mówić o budynkach, przeznaczonych dla przyjezdnych. Ale w tej dziedzinie następuje już znaczna poprawa. Na specjalną uwagę zasługuje tutaj inicjatywa Suszy Rykowej w samborskim, gdzie gospodarze zachęceni korzyściami sąsiedniego Spasa i Rozłucza przystąpili do budowy specjalnych, solidnie urządzonych domków letniskowych.

Ten ostatni fakt dowodzi jak najwymowniej, że ludność Bieszczadów rozpoczyna okres realizacji swoich marzeń turystycznych i letniskowych. Bieszczady będą zresztą nie tylko terenem górskich letnisk. Wkrótce powstanie tu napewno kilka poważniejszych uzdrowisk, dziś już bowiem cieszą się rozgłosem źródła lecznicze w Brzozowie. Lesku, Hyżnem, Rozłuczu i Matkowie.

A w niedalekiej przyszłości — to niewątpliwie — Bieszczady staną się pewnego rodzaju przedmiejskim letniskiem Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Gdy miasto przestaje kupować książkę...

Wbrew wszystkim pesymistom twierdzę, że na froncie książki dzieje się teraz lepiej, niż przed wojną i że znajdujemy się w stanie pewnej, niewielkiej coprawda, ofenzywy. Od roku książce polskiej powodzi się lepiej. Wprawdzie poezyj sprzedaje się dalej przeciętnie po 20 egzemplarzy a jeśli autor jest bardzo popularny, nawet 65 egzemplarzy — zaszczyt ten spotkał w ostatnich latach aż trzech poetów lwowskich — ale za to Pisma Zbiorowe Marszałka Piłsudskiego rozeszły się w nakładzie blisko 40.000 egzemplarzy, w całym kraju czynnych jest ok. 12.000 wypożyczalń, a gminy wiejskie woj. krakowskiego samorzutnie i nie na rozkaz zakładają biblioteki.

Dźwiga się także z martwoty i ospałości Lwów, najważniejszy producent książki polskiej przed wojną. W dziedzinie podręczników szkolnych Lwów i po wojnie prymatu z rąk nie wypuszczał, teraz zaś przyszła też kolej na innego rodzaju produkty wydawnicze. Jeśli chodzi o ilość wydrukowanych w ciągu roku egzemplarzy i zużytego na książkę papieru, Lwów wyprzedza Warszawę, która zajmuje tylko pierwsze miejsce pod względem ilości druków. Na statystykę tę wpływa olbrzymia ilość broszur i sprawozdań, oraz druków propagandowych i reklamowych rozmaitych władz i zrzeszeń. Mimo to, trzeba się zgodzić z pesymistami, że jednak na froncie książki sytuacja pomyślnie się nie przedstawia. Sprzeczność tę postaram się wyjaśnić.

Odbyty we Lwowie 18 i 19 czerwca VI Zjazd Księgarstwa Polskiego, a właściwie p i e r w s z y Zjazd w ścisłym tego słowa znaczeniu, na który przybyło 80 delegatów z całej Polski, nawet z Wileńszczyzny i kresów, zaktualizował znowu sprawę książki i wysunął ten problem na czoło aktualnych zagadnień. Referat prezesa Krawczyńskiego pt. „Kulturalne i gospodarcze znaczenie księgarstwa" dostarczył sporo materiału do rozważań niezbyt radosnych. W wielu domach prywatnych — powiedział prelegent — meble, które dawniej wypełniano książkami usunięto, przy stolikach grywa się w brydża, a dawne schowki na książki zawierają dziś przybory coctajlowe. George Duhamel mówi z dumą: „znam księgarzy na prowincji, którzy urabiają duszę miasta". U nas trudno tych księgarzy dostrzec.

Na prowincji likwidują się jedna księgarnia po drugiej. Na prowincji małopolskiej, gdzie przed wojną kwitło księgarstwo (żywe ośrodki i centrale wydawnicze m. in. w Brodach, Przemyślu, Stanisławowie i Złoczowie) dziś brak nawet punktów sprzedaży książek. Przemyśl stracił kilka swoich przedwojennych poważnych księgarń, w Stanisławowie utrzymała się tylko jedna, a Tarnopol nie jest w stanie utrzymać nawet jednej. W Równem zlikwidowała się jedyna polska księgarnia, przekształcając się w handel tapet i papierów, a ogółem zostało w całej Polsce zlikwidowanych w ostatnich latach 300 księgarń, względnie punktów sprzedaży książek.

Prez. Krawczyński wymienił też przyczynę zła. Winowajcą likwidacji księgarń na prowincji jest przede wszystkim niewłaściwa polityka pewnych władz centralnych i pewnych wydawców. Ustalił się u nas smutny zwyczaj, że wszelkie zakupy centralizuje się w Warszawie. Każdy urząd ma w Warszawie swój specjalny referat, który zaopatruje we wszystko wszystkie podległe mu ośrodki na prowincji. Smutne to zjawisko, na jakie przy różnych okazjach narzeka prasa prowincjonalna a więc nie tylko lwowska, dotyczy również książki. Wojsko zakupuje wszystkie książki w Księgarni Wojskowej w Warszawie, policja ma pewną księgarnię prywatną, która cieszy się przywilejem monopolowym, Monopole obdarzają względami inne firmy, słowem każda instytucja centralna ma swego księgarza warszawskiego, a prowincjonalny księgarz dla tych instytucyj nie istnieje. Że polityka nieuznawania prowincjonalnego stolarza i krawca, literata i księgarza jest w najwyższym stopniu szkodliwa, dowodzić chyba nie trzeba. Czują to w s z y s t k i e zawody

na prowincji na własnej skórze. Księgarnie też.

Jest druga jeszcze bolączka, a na imię jej Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych. Wiadomo, że Towarzystwo to czerpie fundusze w czterech piątych (ogólne wpływy roczne ok. miliona zł) ze sprzedaży znaczków, nalepianych na książki. Księgarz nalepia bezinteresownie ze szkodą dla swego czasu i pieniędzy (trzeba bowiem personal opłacać) znaczki na książki i nie zarabia na tym tyle nawet, ile poczta, która za sprzedaż tych znaczków księgarniom pobiera pewien procent. Odwdzięczając się za bezinteresowną pomoc, Tow. Pop. Budowy Szkół Powszechnych przeznacza część dochodów na urządzanie bibliotek szkolnych i książki na ten cel kupuje... wprost u wydawcy, u którego dostaje jako dobry klient 40% rabatu. Czyli, że księgarz prowincjonalny ślinę połyka, gdy nalepi znaczki, oblizując się w myślach, że wnet dostanie zamówienia na książki a tymczasem książki dostarczane są z centrali. I na to nie ma rady. Skutkiem takiej polityki księgarnie na prowincji muszą żyć nie ze sprzedaży książek, ale z handlu papierem.

Specjalną bolączką są — książki szkolne. Przed wojną rabat wynosił przy podręcznikach 25%, z tym, że wolno było zwrócić 33% wziętych w komis książek. Dziś, gdy podręcznik zmienia się częściej niż przed wojną, kupiec musi sprzedać wszystko, co zamówił a rabat zredukowano mu do 15%, tak, że o jakimkolwiek zarobku marzyć nawet nie można. Książka szkolna jest dziś takim samym deficytowym artykułem, jak cukier grysikowy, który tylko dlatego się trzyma ,by klijent nie musiał wędrować do innego sklepu. Dla księgarza — książka szkolna to okazja do zetknięcia się z klientem, który, ujęty dobrym traktowaniem, zgłosi się jeszcze po inne książki, czy po przybory. Ponieważ — zdaniem księgarzy — wydawcy nie dokładają do podręczników — jest jeden podręcznik, który przekroczył już 100 tys. nakładu! — domagają się bodaj rabatu 20%. Upór dwu wielkich firm, słynnych z drogich kosztów administracyjnych, nie pozwala na zlikwidowanie tej bolączki. Ci bowiem nakładcy, którzy nie mają wygórowanych kosztów własnych, lecz oszczędnie gospodarują, chętnie wniosek księgarzy przyjęliby, doceniając słuszność ich żądania.

Wymownym argumentem są także cyfry. Na terenie całej Polski mamy 1010 księgarń, w tym księgarń w ścisłym znaczeniu, tj. takich, których głównym artykułem jest książka — niespełna 400, a tymczasem w Czechosłowacji księgarń pierwszej kategorii jest — tysiąc! W Małopolsce Wschodniej istnieją 122 miasta i miasteczka, ale księgarń — poza Lwowem — nie ma nawet 80, a z tej cyfry nawet jedna dwudziesta nie dotyczy księgarń w prawdziwym słowa tego znaczeniu. Rocznik Statystyczny, który w tych dniach się ukazał, stwierdza, że w 1936 r. ukazało się u nas 7968 wydawnictw perjodycznych (przeszło połowa odpada na broszury), a w Czechosłowacji wyszło w tym czasie 9200 książek. W Polsce jedna księgarnia przypada na 40.000 mieszkańców, ale w Czechosłowacji jedna na 12.000, a w Anglii jedna na 4200, a we Francji jeden punkt sprzedaży na 700 mieszkańców. Czy trzeba tu coś dodać? Chyba nie!

Uzupełnieniem cyfr niechaj będzie jeszcze jedna: przeciętny nakład powieści dobrej wynosi 1500 do 2000 egzemplarzy. Połowa z tej ilości rozchodzi się po wypożyczalniach (mimo, że jest ch 12.000!) a resztę wykupuje w ciągu roku, czy dwu, czytająca publiczność.

A mimo to jestem optymistą. Jak już na wstępie zaznaczyłem, książce powodziło się przed rokiem jeszcze gorzej. Optymizm swój opieram na niewątpliwym fakcie odczuwania głodu książki w pewnych sferach. W tej dziedzinie dokonało się ciekawe przegrupowanie. Miłośnikami książki nie są dziś, w zasadzie, ani studenci (co jest objawem bardzo smutnym!), ani kobiety — tylko ludzie w starszym wieku, tzw. generacja przedwojenna, która chętnie przenosi się w rzeczywistość fikcyjną, oraz w i e ś. — Chłop chce czytać. Pożądliwie bierze do ręki każdy strzęp starej nawet gazety ,a książkę pochłania i pożarłby ją nie tylko oczyma, gdyby książka nie była tak droga i dla jego kieszeni niedostępna. Opowiadał mi pewien księgarz lwowski, że baby wiejskie, które mleko do Lwowa przynoszą, chętnie zatrzymują się przed wystawą. Taka kobieta, jeśli zażąda modlitewnika czy kantyczek, przeważnie nie kupuje najtańszych i najcieńszych wydań, ale książkę najgrubszą. Czyni to w przekonaniu, że ta książka będzie lepsza. I podczas gdy wytworna dama przychodzi do księgarni nie po Dewajtis np., ale po bryk do tej książki, bo „bryk synusiowi wystarczy, a na książkę szkoda pieniędzy, bo cóż się z książką zrobi?"— to chłop woli tekst i to tekst najobszerniejszy.

Zbliżam się do konkluzji. Uwzględniając, że młodzież nie ma ochoty czytać, że modny inteligent młodszej generacji nie myśli o wzbogaceniu się w e w n ę t r z n y m i że panienkom wypożyczalnie starczą — trzeba impet cały zwrócić w stronę tych, którzy książkę lubią, ale pieniędzy nie mają, trzeba cenę książki obniżyć, a wtedy znajdzie się nabywca, oczywiście pod warunkiem, że książka będzie dobra. Przykłady ostatnich lat pouczają nas, że na książkę dla danej sfery o d p o w i e d n i ą zawsze się nabywca znajdzie. Mimo śmiesznie małych nakładów innych książek Żeromskiego „Przedwiośnie" zrewoltowało czytającą publiczność. Dreszcz emocji kazał teraz kupować Piaseckiego, walory artystyczne stanowiły kiedyś atrakcję tomików „Biblioteki Narodowej", aktualność spowodowała ogromną poczytność i pokupność „Na tropach smętka" — Wańkowicza, nowość i taniość przyczyniły się walnie do sukcesu „Biblioteki Groszowej" itd. Rolę bodźca odegrał też w pewnym okresie zarzucony dziś definitywnie Tydzień Taniej Książki, a na wzrost czytelnictwa ogromny wpływ wywarły Mniszkówna, i Zarzycka, jako autorka Dzikuski. Obie te kobiety zainteresowały książką więcej osób, niż setki odczytów, czy plakatów propagandowych. Zainteresowały treścią, która w owym czasie była aktualna.

Dziś bodźców specjalnych nie trzeba. Zresztą takie rzeczy nie tworzą się sztucznie, ale wynikają samorzutnie. Jedyne, co jest do zrobienia dziś, gdy w ciągu roku obroty w księgarstwie o ok. 10% w górę poszły — to o b n i ż y ć cenę książki i rzucić ją m a s o w o w l u d.

Gdy inteligencja czytać przestaje i z pozycji swojej, jako decydującego czynnika kulturalnego świadomie rezygnuje, niechaj wypłynie jako konsument literacki ten, kto pokarm duchowy łaknie — LUD POLSKI. Marzenie Mickiewicza zrealizowałoby się w naszych oczach...

Głos mają księgarze.

Leopoliensis.

Swastyka w Sudetach czy bomby nad Pragą?

(Dokończenie)

W poprzednich numerach „Woli i Czynu" zobrazowaliśmy stosunki polsko - czeskie do czasów plebiscytu. W obecnym dokończeniu zajmiemy się sąsiedzkim współżyciem Czechosłowacji z Polską od czasów ustalenia granic do dni dzisiejszych. Zagadnienie to jest zbyt obszerne, materiał za obfity, by go można w krótkim artykule wyczerpać. Ograniczymy się tylko do podania faktów mniej więcej charakterystycznych, do rzucenia kilku niezbędnych cyfr, koniecznych dla wyrazistości kreślonego obrazu.

Trzeba pamiętać, że Czechosłowacja pod względem narodowościowym przypomina przedwojenną Austrię. Grozi to tymi samymi konsekwencjami ,jakie spotkały Austrię. Grozi to rozsypką, spowodowaną uderzeniem zewnętrznym lub przez stopniowe usamodzielnianie się wchodzących w skład państwa narodowości. Z konsekwencji tych zdawali sobie sprawę Czesi, to też ich pierwszym dążeniem była asymilacja i zczechizowanie narodowości słowiańskich, Polaków i Słowaków. Słynna umowa pittsburska została zbagatelizowana, odrębność Słowaczyzny zniesiona. Na forum europejskim Czesi zaczęli lansować nową narodowość, — „czechosłowacką". Z Polakami nie można było postąpić w ten sposób. Trudno było wymyślać narodowość „czesko-polską". Trzeba było znaleźć inne ale podobne wyjście. Wyjściem tym stała się nazwa „spolszczonych morawian", użyta na określenie Polaków w Czechosłowacji. Określeniem tym objęto wszystkich Polaków, mieszkających poza zwartym obszarem ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim.

Czego nie można było zrobić z Polakami na Śląsku Cieszyńskim, to można było łatwo uczynić ze „spolszczonymi morawianami"; „spolszczeni morawianie" to przecież Czesi, którzy tylko skutkiem sąsiedztwa, czy innych praw historycznych nabrali przekonania, że są Polakami. W myśl tej naiwnej i dla otumanienia Europy wymyślonej zasady, — prowadzili Czesi systematyczną pracę wynaradawiającą. Fakt ten najlepiej uwypuklają cyfry. W r. 1920 ilość dzieci polskich w wieku szkolnym na Morawach wynosiła 1445 a w piętnaście lat potem, tj. w r. 1935 we wszystkich szkołach polskich na Morawach pozostało zaledwie 196 dzieci!! Uwzględniwszy naturalny przyrost ludności polskiej widzimy, że Polacy na Morawach pod względem narodowości zostali dosłownie zdziesiątkowani.

Nie lepiej przedstawiały się stosunki w szkolnictwie na Śląsku Cieszyńskim. Liczby szkół polskich z r. 1920 nie można podać, bo Śląsk Cieszyński był wtedy terenem terroru i operacji bojówek czeskich. Podajemy zatem ilość szkół polskich z okresu niewoli austriackiej, z r. 1916. W r. 1916 społeczeństwo polskie na Śląsku Cieszyńskim posiadało 92 szkoły, a w r. 1933 zaledwie 79 szkół. Równocześnie liczba szkół czeskich na Śląsku Cieszyńskim wzrosła, o 120 szkół, a od kilku lat projektuje się i stawia w dalszym ciągu czeskie szkoły publiczne. A przecież przyrost naturalny Czechów wynosi zaledwie 6,5%. Dla kogo więc buduje się czeskie szkoły? Buduje się je dla ludności polskiej, dla wynaradawiania polskich dzieci.

Legendą okazały się przechwałki Czechów o ich znakomitych zdolnościach gospodarczych. Czesi odzyskali po wojnie światowej swe ziemie w kwitnącym stanie, nie zniszczone wojną. Oddziedziczyli potężne zakłady przemysłowe, założone przez Austrię na ziemiach czeskich, znakomitą sieć dróg komunikacyjnych i duży tabor kolejowy. Zdawałoby się, że stan ekonomiczny Czechów winien być kilkakrotnie wyższy od stanu ekonomicznego Polski. Tak jednak nie jest. Produkcja węgla kamiennego w Czechach spadła w porównaniu z produkcją dawną, węgiel polski wypiera węgiel czeski z rynków światowych, produkcja rolna zaledwie zaspokaja potrzeby ludności, a kto zadałby sobie trud obejrzenia z bliska wiosek słowackich, to zobaczyłby nieraz taką nędzę, że szukać by jej u nas chyba w zapadłych wioskach poleskich. Podstawą gospodarki ekonomicznej Czechosłowacji jest przeważnie eksport wyrobów przemysłowych, chmielu i jęczmienia browarnego. Śmiesznie na tym tle wygląda agitacja Czechów na Śląsku Cieszyńskim, że Polska nie umie gospodarować, że dla Polaków w Czechach korzystniej będzie zmienić narodowość.

Innym ze środków opanowania Śląska Cieszyńskiego przez Czechów jest planowa akcja kolonizacyjna. Na roli, powstałej z parcelacji większych własności osadza się zwarte osiedla kolonistów czeskich, mających być podstawą czeskiego stanu posiadania. Jeżeli dziś spotyka nas zarzut ze strony Czechów, że sympatyzujemy z Niemcami na zgubę słowiańszczyzny, to trzeba im przypomnieć działalność komisji kolonizacyjnej, która osadzała kolonistów czeskich nie w zagrożonych Sudetach, ale właśnie wśród ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Że dzisiaj Niemcy tworzą silną ekonomicznie i zwartą grupę w Sudetach, to jest to w dużej części zasługą czeskiej komisji kolonizacyjnej.

Nie będziemy wspominać o kneblowaniu polskiej prasy w Czechosłowacji, o codziennych prawie konfiskatach, bo to są fakty powszechnie znane. Konfiskaty prasowe wynagradza zresztą w dużej mierze radio. Radio dostarcza wiadomości z Polski prawdziwych, nie przekręconych, wiadomości, których Czesi nie mogą na szczęście zatrzymać na kordonie granicznym.

Tak więc w grubszych zarysach przedstawiałyby się stosunki polsko-czeskie od czasów odzyskania niepodległości. Trudno dziwić się ,że Polska nie żywi sympatii do narodu, który okazał, że nie jest godnym zaufania. Zapomnieć o podstępie wydartym nam Śląsku Cieszyńskim, mimo wszystko, nie możemy. Nie możemy również zapomnieć o krzywdach, wyrządzonych ludności polskiej w w Czechosłowacji na przestrzeni lat dwudziestu, pamiętamy też o stra-

SPRAWY KULTURY

NIEPOTRZEBNY TEATR —?

(Artykuł dyskusyjny)

Czytaliśmy niedawno artykuł dworujący sobie z urządzonego podczas Zielonych Świąt święta ludowego. „Jak jest święto robotnicze, jest święto lasu i tyle innych potrzebnych i niepotrzebnych świąt to dlaczegoż nie miałoby być święta Str. Ludowego...” Zestawiając święto chłopa w Polsce ze świętem lasu i sugerując najoczywiściej niepotrzebność obu, autor tego artykułu pragnie widzieć tegoż chłopa tylko jako „czystego nacjonalistę”, pozwala mu na „propagandę mowy ojczystej (co to takiego? — p. a.), ludowej pieśni polskiej i ludowy strojów polskich”, odmawia mu natomiast praw politycznych. Zapewne. Starościńskie banderie, grzecznie defilujące w barwnych ubiorach pożyczonych z kostiumeryj teatralnych — to także ludność wiejska. Ale nie o tym chcemy mówić, skoro już dotknęło się tematu kultury duchowej, społecznej wsi. Przecież o tych sprawach można mówić poza wszelką demagogią partyjną. (Ostatecznie, skoro się palcem nie kiwnęło w obronie gromady chłopów, którzy podczas uroczystości święta państwowego 11 listopada w ub. roku napadnięci i pobici zostali — wśród okrzyków: „Wy chamy!” — właśnie przez oddziały „czystych nacjonalistów”, czy można od tychże chłopów żądać nowych deklaracyj wyłączności doktrynalnej — to kwestia do gruntownej dyskusji). Pojęcie folkloru jest dziś gruntownie rewidowane i rzeczywistość wiejska w organizacji swej kultury daleko wyprzedziła teeselowe — pełne zresztą jak najlepszej woli — widnokręgi. Etnografia jest w dużej mierze nauką o wartościach minionych a Kolbergiem i porteczkami łowickimi nikogo zbawić nie można. Wieś jest dziś zbiorem intensywnej twórczości i chłonności kulturalnej. Przy całej swej nędzy i całej rozpiętości analfabetyzmu bardziej garnie się do kultury niż proletariat umysłowy z maturami.

Bawił we Lwowie niedawno zespół wychowanków najdzielniejszej placówki kultury wsi, uniwersytetu ludowego im. Orkana z Gaci pod Przeworskiem. Zespół ten zademonstrował teatr swój własny, samorodny, inscenizację tekstów ideowych, pieśni o doli ludzkiej, wreszcie noweli Witkiewicza. Nowość i siła odtworzeń teatru orkanowego polega na akcencie treściwym, ściślej rzecz określając: ideowym.

„Gromada to siła twórcza”, „dziecko wiejskie znaleźć musi troskliwą opiekę”, „wieś potrzebuje dobrych, bezinteresownych, uspołecznionych lekarzy” — tak oto streścićby można trzy pierwsze inscenizacje. Zawiera się w nich jędrna abstrakcyjność spraw, które muszą być ogólne (nie ogólnikowe!), bo idą daleko w przyszłość.

Inscenizacja piosenki o zaślubinach gospodarskiego syna z sierotą pokazała wyzwalanie się aktorstwa samorodnego. Żadnego zgrywania się w zachowaniu się protagonistów. Powstała jakaś tylko patetyczna powolność ruchów, śpiew czysty, samotny, bez akompaniamentu żadnego instrumentu.

Inscenizacja „Zośki Galickiej” poszła drogą najciekawszą, bo oparła się na czystej samorodności. Aktorzy znają dokładnie sytuację, akcję całą, następstwo epizodów. Dialogi i ruchy są już rzeczą każdorazowego instynktu aktorów. Jest to swojego rodzaju maniera del'arte. Trzebaby zobaczyć 2—3 przedstawienia „Zośki Galickiej”, by ocenić stopień jej samorodności. Ciekawa byłaby też do przejrzenia rola reżysera, który jest duchownym konstruktorem tego wolnego teatrowania. To, co ujrzeliśmy na scenie, było bardzo ciekawą próbą tworzenia moralitetu społecznego. Cały bowiem występ teatru orkanowego był nastawiony na wysoki ton ideowy: piękny, ludzki, nawskróś polski, nawskróś chrześcijański. Kto może mówić, że święto chłopa — to tak jak święto lasu i wogóle niepotrzebne? Czy taki teatr także niepotrzebny?

B. W. L.

„TO TYLKO KINO“

Początek sprawy był taki: Pojawiły się w prasie lwowskiej notatki na temat zmiany kierownictwa i charakteru jednego z lwowskich kinoteatrów. Kino to od dwudziestu kilku lat — tak doniosła prasa — mieści się w jednej z muzycznych placówek społecznych. Kontrakt na salę kończy się dopiero za półtora roku, ale już rozpoczął się targ w sprawie dalszego wynajmu. Sedno sporu dotychczasowych właścicieli kina z nowymi oferentami lepszych warunków płatniczych może czytelnika nie obchodzić jako sprawa zamknięta wewnątrz pewnej branży. Znajomość zaś tylko dokładna stosunków wewnętrznobranżowych może być podstawą krytyki tzw. etyki zawodowej. (Sprawa etyki kapitalizmu — to zagadnienie osobliwe i specjalne). Nie tykając więc pieniężnego i branżowego sedna sporu, zwrócić musimy uwagę na stronę trzecią sporu: na właściciela owej sali koncertowej, w której mieści się kino.

Właścicielem sali jest pewna społeczna placówka muzyczna. Placówka ta wynajmuje od długich lat swą salę filharmoniczną na kino, bo ostatecznie coś się w tej sali dziać musi, placówka zaś owa — poza jednym dorocznym wyjątkiem — żadnego własnego programu koncertowego nie realizuje. Koncerty organizuje biuro prywatnego impresaria, odbywają się też tam popisy szkolnictwa muzycznego i popularne audycje dla szkół. Wszystko to są imprezy podnajemcze. Poza tym w sali tej mieści się — jak wspomniano — kino. Przejmuje dogłębszym zdumieniem twardy stosunek właścicieli sali do instytucji kinowej, z której wszakże czerpią wielotysięczne dochody. Kino jest dla nich tylko i wyłącznie okazją do zarobku.

Placówki artystyczne przeżywają ciężki kryzys; teatry są przeważnie deficytowe, muzyka szuka mecenasów (i placówka, o której mówiliśmy, nie gardzi subwencjami rządu). Uważa się tylko, że kino jedno może dziś dużo płacić, nie szczędzi się więc żadnej gałęzi kinematografii, gdy idzie o nacisk fiskalny. Ale każdy nacisk ma swoje granice. Jakąż gwarancję może mieć nowy podnajemca wspomnianej sali, że nie wyruguje się go znowu — jak jego poprzednika — przy pierwszej lepszej okazji, gdy zjawi się ktoś, kto lepiej zapłaci. Dewiza „kto da więcej?” dziwnie wygląda na tarczy zrzeszenia, którego celem jest podobno — mecenat sztuki. Trzeba więc przypuścić, że w lwowskiej sali koncertowej mógłby się osiedlić np. teatr pcheł — oczywiście gdyby dobrze zapłacił. Idzie o to tylko, by zarobek był lekki, duży, i bez ryzyka. Forsa, forsa na stół! A potem można będzie mówić głośno, że ci kiniarze — to straszliwi materialiści i liczygrosze. A inni — np. muzycy — nie!

Rzeczą pisarza kinowego jest zabrać głos w sprawie sporu o placówkę kinową, która zawsze rzetelnie wypełniała swe założenia kulturalne. Kino to — rzecz najoczywistsza — może zmieniać właścicieli, ale nie może być traktowane tylko jako okazja do lekkiego zarobku. Kierownicy placówek kinowych zasługują na to, by traktować z nimi o sprawach programowych, by wejrzeć w ich kłopoty, nie — by tylko na nich zarabiać. W mieście, w którym tyle się pisze o ciężkim położeniu teatrów, o potrzebie popularyzacji muzyki, ktoś wreszcie zwrócić musi uwagę na bezwzględne i twarde traktowanie kin. Sprawa jest na pewno tak samo ważna, jak przesilenie teatralne.

Gdy omawiałem tę sprawę ze znajomymi, zwrócono mi uwagę z uśmiechem: „Nie trzeba się tym przejmować! Przecież to tylko kino”. A więc to tak, mili państwo Dulscy! Teatr— sztuka, koncert — sztuka, a kino?... „to tylko kino”... Choćby to kino swym udziałem w tworzeniu kultury miasta wielokrotnie przewyższało subwencjonowane doroczne imprezy. Sprawa jest typowa i zasadnicza. Dlatego o niej się mówi.

——o——

tach, jakie ludność polska poniosła w czasie walki o swój byt narodowy.

Wiele zainteresowania w Europie wzbudziło pytanie, jak się zachowa Polska wobec ewentualnego konfliktu zbrojnego w Sudetach. Odpowiedź jest, zdaje się, jasna. Polska dotrzymuje wiary swoim sojusznikom, ale Polska nie zapomina również o tym, że własna siła i obronność jest pierwszym celem. Na przemarsz w tej czy innej formie wojsk bolszewickich zgodzić się nie możemy. Uzasadnia tę decyzję nie chęć rewanżu za zatrzymanie transportów broni przez Czechów w r. 1920, — ale i przede wszystkim bezpieczeństwo własne i prestiż narodu.

Neutralność nasza czy nawet pomoc udzielona Czechosłowacji w jakiejkolwiek formie jest rzeczą do omówienia na drodze oficjalnej, a niewątpliwie decydującą rolę odegra tu położenie ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Dobrych stosunków sąsiedzkich myśmy nie psuli i my ich naprawiać nie potrzebujemy. Klucz do rozwiązania sytuacji leży w Pradze.

Że do takiego czy innego rozstrzygnięcia kwestii Sudetów przyjdzie,— to nie ulega wątpliwości. Sugestywnie narzuca się możliwość konfliktu zbrojnego. Fakt, że Niemcy obecnie ustąpiły, nie dowodzi jeszcze niczego, a zwłaszcza nie daje gwarancji, że za rok czy dwa, gdy sytuacja ogólnoeuropejska się zmieni, nie powtórzą swych żądań z rezultatem... zgoła odmiennym od dzisiejszego. Wydawać się mogło, że sprawa Abisynii, sprawa hiszpańska wywołają konflikt zbrojny w Europie, a jednak... ogień dało się zlokalizować, ba, nawet ci, którzy pożar wywołali ,mają zupełnie wolne ręce. To jest groźne memento. To powinno być poważnym ostrzeżeniem dla Czechosłowacji. Faktów tych nie należy bagatelizować, a świeży przykład Austrii dowodzi, że gwarancje obcych mocarstw, mające w jednym roku moc sankcji w roku następnym stają się papierową fikcją. Klucz sytuacji, jak wspomnieliśmy, leży w Pradze i od postępowania Pragi wiele zależy, jak się potoczy dalszy bieg wydarzeń.

——o——

Od Redakcji:

Zamieszczając wyjaśnienie Inspektoratu Szkolnego Miejskiego we Lwowie, podkreślamy z całym naciskiem, iż impreza tego rodzaju jak Wystawa Pamiątek po Marszałku Piłsudskim zasługiwała jednak na ciepły w tonie i w treści okólnik Inspektoratu tym bardziej że niejednokrotnie nie szczędzi się papieru na rzeczy błahe, które bez okólników czy komunikatów, mogłyby się obejść całkowicie. Nikt nie zaprzeczy, że kult wielkiej postaci Marszałka przenikać musi do społeczeństwa w pierwszym rzędzie przez szkołę, która wyczerpać powinna wszystkie środki zmierzające do celu. Bez duszne wysłanie gotowych, przez kogo innego przygotowanych afiszy, bez dorzucenia od siebie koniecznego apelu, to stanowczo za mało, o ile chodzi o *Wystawę Pamiątek po Marszałku Piłsudskim.*

Z Inspektoratu Szkolnego otrzymaliśmy następującą notatkę:

W związku z notatką, zamieszczoną w numerze 11 „Woli i Czynu” z dnia 5 czerwca br. str. 7 p. t. „Niezapomniana wystawa”, Inspektorat Szkolny Miejski we Lwowie przesyła w tej sprawie następujące wyjaśnienie:

Dnia 9 maja br. Zarząd Okręgu P. P. W. we Lwowie, organizujący wystawę pamiątek po Marszałku Polski Józefie Piłsudskim, zwrócił się pisemnie do Inspektoratu Szkolnego Miejskiego z prośbą o rozesłanie szkołom dołączonych do pisma afiszy wystawy. Inspektorat Szkolny Miejski uczynił zadość prośbie organizatorów wystawy i tegoż samego dnia rozesłał szkołom powszechnym we Lwowie afisze po opatrzeniu ich pieczątką: „Z Inspektoratu Szkolnego Miejskiego we Lwowie”.

Zarządzenia Kuratorium w sprawie wystawy, zapowiedzianego przez Zarząd P. P. W., Inspektorat Szkolny nie otrzymał.

Powyższe wyjaśnienie przesyła się z prośbą o umieszczenie w następnym numerze „Woli i Czynu”.

P. o. Inspektor Szkolny
Jan Gerlach

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

Dnia 10 czerwca br. w świetlicy tut. Oddziału wygłosił ob. Ppłk. Zygmunt Zygmuntowicz referat pt. „Lud wiejski w okresie rozbiorów". Referat poprzedziło omówienie właściwego tematu zwięzłym przedstawieniem stosunku wieśniaków do reszty polskiego społeczeństwa w historycznym rozwoju naszych dziejów. Całość referatu, wypowiedzianego w formie jasnej, przystępnej, była wielce pouczająca, zwłaszcza że prelegent przytoczył wiele momentów bardzo ciekawych, charakterystycznych, świadczących o gruntownej znajomości przedmiotu.

*

Dnia 18 czerwca br. odbyło się w naszej świetlicy zebranie dyskusyjne na temat problemu niemieckiego w Małopolsce. Sprawa zainteresowała widocznie członków Oddziału, zjawili się bowiem tłumnie mimo pory gorącej, nie sprzyjającej więc takim zebraniom. Dyskusja, zagajona przez Prezesa Oddz. S. O. ob. Boczara, była bardzo ożywiona i naświetliła wielostronnie kwestię hitleryzmu, zapuszczającego coraz głębiej swe korzenie na naszym gruncie. Z inicjatywy Prezesa powzięli zgromadzeni odpowiednie rezolucje, wreszcie na wezwanie jego odśpiewali Rotę Konopnickiej i opuścili świelicę w nastroju poważnym i podniosłym.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy gmach w Liceum Krzemienieckim

Wobec ciągłego i wzrastającego napływu młodzieży do szkół Liceum Krzemienieckiego które nie może już tej młodzieży pomieścić z powodu ciasnoty izb szkolnych, przystąpiło Liceum w roku bieżącym do budowy nowego gmachu szkolnego, przeznaczonego na pomieszczenie Pedagogium i Szkoły Ćwiczeń. Zharmonizowany w wyglądzie zewnętrznym z obecnymi gmachami Liceum, zaopatrzony we wszelkie urządzenia, stanie nowy gmach w przedłużeniu obecnego Gimnazjum L. K.

W dniu 21 czerwca br. odbyło się przy udziale władz szkolnych, zaproszonych władz administracyjnych i wojskowych, przedstawicieli miejscowego społeczeństwa oraz całej młodzieży Liceum, poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach. Po przemówieniu Kuratora Liceum Krzemienieckiego Stefana Czarnockiego, podkreślającym wagę wydarzenia zarówno dla wewnętrznego życia Liceum jak i dla ogólnej kultury, którą Liceum szerzy na kresach, został odczytany akt erekcyjny, na którym przedstawiciele społeczeństwa, szkół i pracowników L. K. oraz robotników, budujących gmach złożyli podpisy.

Przy dźwiękach hymnu krzemienieckiego złożył Kurator L. K. akt do futerału szklanego, który umieścił pod kamieniem węgielnym, zamurowując otwór. Po zakończeniu uroczystości poświęcenia, udali się zebrani na dziedziniec licealny, gdzie odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego.

Warto nadmienić, że do podjęcia budowy gmachu przyczynili się wybitnie pracownicy działu gospodarczego w Liceum Krzemienieckim, którzy swą pracą nie tylko utrzymują gospodarczą stronę Liceum w równowadze i podnoszą ją oraz pokrywają wydatki bieżące wszystkich zakładów naukowych L. K. i oświatę pozaszkolną, ale również stwarzają możliwości przystąpienia do wzbogacenia działu szkolnego w tak poważne inwestycje jak budowa szkół. Ścisła współpraca i porozumienie między obu działami Liceum Krzemienieckiego — szkolnym i gospodarczym, przyczyniają się do osiągnięcia coraz bardziej owocnych rezultatów w działalności L. K.



Założenie kamienia węgielnego w Liceum Krzemienieckim

NA ŚWIATŁO DZIENNE

ZA DŁUGOTERMINOWĄ SŁUŻBĘ...

Ze zdumieniem i przerażeniem przeczytałem w kronice prowincjonalnej jednego z dzienników, iż w miasteczku wśród grona nauczycielskiego, odznaczonego medalem za długoletnią służbę, znajduje się też katecheta, uczący religii gr.-kat. Przypadkowo znam dobrze tego jubilata. Gdy 15 lat temu przybył do owego miasteczka, by zająć miejsce starszego, dobrodusznego, apolitycznego duszpasterza gr. kat., wszyscy zdawali sobie sprawę, że ten młody, o wystających kościach policzkowych i smukły duchowny, nosi sutannę swoją, jak rycerz strój wojenny. Płomienny wzrok młodego katechety dowodził, że ten człowiek nie ograniczy swej pracy do kilku godzin rannych, spędzonych na nauce religji, wpajanej najmłodszym. Już najbliższe miesiące przekonały Polaków owego miasteczka o posiewie propagandy nowego katechety. Spokojna ludność **ruska** (nie jest to przesada, ale **fakt!**) nagle poczęła stronić od Polaków. Coraz częściej na ulicach w miejsce mowy polskiej rozbrzmiewała ruska, ale nazywała się ona już **ukraińską.** Kilka miesięcy wystarczyło, aby miasteczko zmieniło skórę. Koszule wyszywane, przedstawienia amatorskie i odczyty znaczyły pierwszy szlak działalności katechety, opłacanego **z państwowych, polskich funduszów.**

Po roku ksiądz katecheta, uznawszy, że w miasteczku najważniejsza robota została już wykonana, przerzucił się na wieś. W każdą niedzielę wyjeżdżał do innej miejscowości, a często też znikał na całe popołudnia z miasteczka. Co pewien czas z innej wioski zaczęły nadchodzić niepokojące wieści. Powiat, który był do owej pory w **stu** niemal procentach **ruski** stawał się powoli ukraińskim. Działo to się na naszych oczach, w Polsce Odrodzonej, a sprawcą przemiany był katecheta, sprowadzony do miasteczka dla nauczania dzieci katechizmu według obrządku gr. kat.

Lat temu dziesięć zwróciłem na ten fakt uwagę miejscowego starosty a potem powtórzyłem to samo ówczesnemu kuratorowi Okręgu Szkolnego Lwowskiego. Usłyszałem wtedy, że i pan starosta i pan kurator wiedzą o tej pozaszkolnej działalności katechety gr. kat., że wiedzą kto i za czyje pośrednio pieniądze przerobił kilkanaście tysięcy Rusinów na Ukraińców, ale...

Z miasteczkiem tym straciłem kontakt.

Przed kilku dniami dowiedziałem się z gazety o odznaczeniu owego katechety, który wciąż jeszcze przebywa w tej miejscowości na posadzie **państwowej.** Dowiedziałem się przy tej sposobności, iż czasy, kiedy ów powiat był ruski, należą do **bezpowrotnej** przeszłości.

Św. Jur może tryumfować. My rozdajemy medale za „długoletnią służbę w Państwie Polskim".

—o—

Prelegent w swoim pięknie ujętym pod względem stylistycznym, głębokim i obszernym co do treści referacie omówił i poruszył różne bolączki naszego codziennego życia społecznego. Wykazał on, że w ciągu ostatnich lat osłabło nieco tętno naszego życia społecznego, pozostały natomiast tęsknota i głębokie przywiązanie do poszanowania godności obywatelskiej, kontroli stosunków społecznych, demokracji i legalizmu. Wyraźny brak poszanowania ustaw państwowych i normowania nimi wszelkich przejawów życia społecznego, łamanie porządku publicznego bardzo często przez jednostki nieodpowiedzialne i działające samowolnie na szkodę Państwa były niejednokrotnie przyczyną powszechnego zobojętnienia i apatii wśród obywateli, zachwiania wiary we wszelkie ideały i własne siły. Stąd wytworzył się obecny kryzys życia społecznego, objawiający się brakiem zrozumienia tych wszystkich wartości, które stanowią spójnię tego życia, decydują o jego moralnym poziomie. Przyczyny takiego stanu rzeczy w czasie dyskusji wiele mowców dopatrywało się w braku należytego przeszkolenia politycznego społeczeństwa na naszych ziemiach — przy czym wyraźnie podkreślono, że Obóz Zjednoczenia Narodowego chcąc spełnić swoje zadanie, musi właśnie w pierwszym rzędzie być dla społeczeństwa polskiego taką szkołą politycznego życia i musi odrobić te wszystkie zaniedbania, powstałe przez okresy poprzednie.

Tym wszystkim niedomaganiom naszego dzisiejszego społeczeństwa Obóz Zjednoczenia Narodowego wydaje bezwzględną walkę a wynikiem jej będzie przebudowa dotychczasowego stanu psychiki społecznej na Ziemiach Wschodnich Państwa Polskiego, wzmocnienia samopoczucia godności i wartości ogółu obywateli.

Po referacie wywiązała się bardzo żywa dyskusja, która dała wiele cennych uwag co do źródeł niedomagań naszego społeczeństwa.

W dyskusji zabierali głos pp. prof. UJK. dr Adam Fischer, prof. dr Niemczycki, mec. dr Pokorny, inż. dr Pilat, dyr. Petry, inż. Mańkowski, mgr Świca, M. Kolendowski, mec. Masłowski i wielu innych.

Frekwencja była duża.

KOMUNIKATY

Dnia 22 czerwca br. odbyło się w lokalu O. Z. N. zebranie Sekcji polityczno - Społecznej Okręgowego Biura Studiów, na które przybył również Prezes S. P. P. O. S. prof. dr Adam Fischer.

Zebraniu przewodniczył adw. Juliusz Masłowski. Referat na temat „Polityczne oblicze społeczeństwa Polskiego w Małopolsce Wschodniej" wygłosił red. Adam Nechay.

ZJAZD OSADNIKÓW

Akcja zawodowego zorganizowania osadników ziem Małopolski Wschodniej prowadzona pod opieką Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, dobiegła końca. Uwieńczył ją trójwojewódzki organizacyjny Zjazd Osadników, który odbył się we Lwowie w dniu 29 czerwca br. w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (ul. Kopernika 4). Walne Posiedzenie poprzedziło uroczyste nabożeństwo w Archikatedrze metropolitalnej o godz. 9-tej rano.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ob. Morawiec Józef, Świebodzin: List Wasz skierowaliśmy do Zarządu Oddziału Zw. Leg. Pol. w Tarnowie celem zbadania i załatwienia poruszonej sprawy.

OD REDAKCJI

Prenumeratorów i Czytelników naszych zawiadamiamy, że od poprzedniego numeru począwszy zmniejszyliśmy objętość naszego pisma na czas wakacyjny do objętości 8 stron druku.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.